

„Przekroczyliśmy Bramę”

Godło: Wikszy

Jeśli czytacie te słowa oznacza to, że nie przetrwaliśmy.

Nie wiemy ile czasu upłynęło odkąd przekroczyliśmy Bramę. Czasem myślimy, że upłynęły sekundy, a chwilę później czujemy jak stulecia przebiegają nam przed oczami. Nie odczuwamy zmęczenia tylko po to, by nagle przeżywać agonalny ból wycieńczonego ciała. Ciała, które rozpływa się i gnije na naszych oczach. Ale nie zawsze. Czasem nasze samopoczucie jest dobre, najlepsze jakie kiedykolwiek mogłoby być.

Wędrujemy niemal nieustannie odkąd przekroczyliśmy Bramę. Przeszliśmy już tysiące kilometrów. Nie ruszając się z miejsca. A może pędząc na oślep w pośpiechu? Dystans jest tutaj kapryśny i nieznośny. Stawiasz krok by pokonać milę – biegniesz do utraty tchu by ruszyć się o tysięczną część centymetra. Nie mamy pojęcia ile kilometrów przeszliśmy, równie dobrze możemy bez przerwy tkwić nieruchomo. Niemal nieustannie staramy się być w ruchu – czy to z niepokoju, czy z poczucia obowiązku. Jednak są chwile, gdy nawet kiwnięcie palcem jest absolutnie zbyteczne. Cały wysiłek potrafi pójść na marne, gdy bezwstydne lenistwo daje najlepsze efekty. Nie jesteśmy pewni ruchu naszych ciał, ani tego czy to nasza fizyczna siła przenosi nas w przestrzeni, czy to przestrzeń porusza nami wedle własnego widzimisię.

Jedyny krok, którego jesteśmy pewni to ten, którym przekroczyliśmy Bramę. Wysłaliście nas bo zaufaliście naszym tęgim głowom. Wierzycie, że przyniesiemy wam dobrą nowinę i wyjaśnimy to, czego jeszcze nikt nie wyjaśnił. A my staramy się wypełnić tę obietnicę najlepiej jak potrafimy. Złożyliśmy ją nie tylko po to by przyczynić się nauce, ale by przyczynić się ludzkości. I każdej sekundy i każdego tysiąclecia naszego pobytu za Bramą staramy się tej obietnicy dotrzymać. Oprócz tych słów, które teraz czytacie, powinniście również odnaleźć inne nasze notatki. Piszemy je nieustannie, notując wszystko co potrafimy dostrzec naszymi ograniczonymi ludzkimi zmysłami. Notatki niestety też są nieobliczalne. W czasie gdy przenosimy swoje myśli na papier, na tym samym papierze rodzą się i umierają różne zdania.

Strzeżcie się żołnierza bez twarzy.

Pierwszym co udało nam się dotrzeć, po tym jak przekroczyliśmy Bramę, było płonące miasto. Szkarłatny blask bił od zajętych ogniem okien i drzwi. Iskra zdawała się nie męczyć, z gorącą determinacją przeskakując z budynku na budynek. Ze zgłiszczy wypełzła istota. Istotami nazwaliśmy wszystko co jawiło nam się jako forma życia, nawet jeśli to wrażenie było tylko parszywą iluzją. Istota poruszała się niezgrabnie na czterech długich kończynach. Ni to pełzała, ni to raczkowała. Jej długie i kościste członki o ostrych szponach chwytaly się żółtej ziemi, wprawiając w ruch miękkie, czarne ciało. Zgrabną czaszkę owijał ciasno śnieżnobiały bandaż. Wyraźny ślad krwi na twarzy istoty powinien być dla nas ostrzeżeniem. Nie posłuchaliśmy go, a śmierć wypełzła raptownie z płonącego miasta, chwytając nas czule w swoje szpony. Tak właśnie się stało. A może stanie?

Pchani ciekawością i poczuciem obowiązku wędrowaliśmy nieustannie. Wkrótce udało nam się zaobserwować kolejny element tego niezziemskiego krajobrazu. Armia tłustych, potężnych pajaków udawała się na spoczynek. Za schronienie służyła im ogromna czaszka z pustymi błękitnymi oczami. Wpełzały do niej przez szeroko otwarte usta, przepychając się i wpadając na siebie niczym ludzie w kolejce. Ten widok nie zaszokował nas w żadnym stopniu,

nauczyliśmy się już przyjmować pewne zjawiska występujące za Bramą za rutynową kolej rzeczy. Dlatego zamiast niegrzecznie wpatrywać się w wyżej opisane zjawisko przystąpiliśmy do kolekcjonowania informacji. Wyuczona ostrożność i takt zasugerowała nam dyskretne notowanie i fotografowanie, najlepiej zza stojących opodal zrujnowanym budynków mieszkalnych. Niestety czaszka i pająki mieli odmienne zdanie na temat sposobu prowadzenia naszych badań. Stawonogi rzuciły w naszą stronę wiązaną nieprzyjemnych i niecenzuralnych słów, a puste błękitne oczy przeszyły nas wywołującym ciarki spojrzeniem. Zanim którekolwiek z nas zdążyło wydusić pełne pokory przeprosiny wymowny wzrok skutecznie nas przegonił.

O tak ta podróż różniła się od innych przejażdżek samochodowych naszego życia.

Łagodny, lecz pełen bólu głos nucił dziecięcą kołysankę. Właściciel głosu, odziana w błękitne szaty postać, pełnym czułości ruchem bujała drewnianą kołyskę. Na kołysce przysiadła wrona i pełnym mądrości spojrzeniem zerkała raz na błękitną postać, raz na kościotrupa na leżącym na podłodze. Kościotrup ubrany był w puszysty czarny kożuszek i odpoczywał z twarzą przytuloną do zimnej podłogi. Malutka istota, z której zapewne pozyskał materiały na kożuch, przywiązana była krótkim łańcuchem do jednej ze ścian pomieszczenia. Gdy weszliśmy do tego pustego, lecz niewielkiego pokoju, postać w błękitnej szacie posłała nam pełne cierpienia i nadziei spojrzenie. Tak to przynajmniej odczuliśmy, ponieważ nie mogliśmy dotrzeć twarzy zza głębokiego kaptura. Postać wskazała na leżące w kołysce dziecko. „Zabierze mi go, zabierze!”, oznajmiła płacząc. Głos jej ani męski, ani kobiecy, był pełen rozpaczki. „Kto zabierze?”, zapytaliśmy. „Ona, Ona zabierze!”, głos przybrał na mocy. „Nie powinno się zgadzać, nie powinno składać tej obietnicy”, istota wyrzucała sobie szeptem. Pogłaskała bladą dłońią niemowlaka. Nie zdradziła nam imienia dziecka, jednak wyżłobione na kołysce duże R dawało nam pole do domysłów.

Nagle wrona zaskrzeczała ostrzegawczo, jednak my (głupcy!) zignorowaliśmy ją.

Zaoferowaliśmy postaci w błękitnych szatach pomoc. Ta jednak jedynie złapała się rozpaczliwie za głowę i niczym mantrę powtarzała „Pomóc nie móc! Pomóc nie móc!”. Jej pełne smutku szloch i jęki zagłuszył wkrótce tętent końskich kopyt. Mrugnięcie oka nie minęło zanim w pomieszczeniu pojawiła się Ona. Wierzchowiec jej odstraszał nienaturalnie długim pyskiem, niepokrytym ani krztą skóry czy mięsa. Jedynie jego długa kara grzywa mogła świadczyć o prawidłowym funkcjonowaniu organizmu. Siedząca okrakiem na nim Ona wyglądała niczym jego odbicie, jedynie zniekształcone charakterystycznymi wygięciami ludzkiego ciała. Bez ceregieli porwała niemowlaka z kołyski i przytuliła go sobie do brzucha. Dziecko, blade niczym śmierć, nie wydało z siebie żadnego dźwięku, przyjmując swój los ze spokojem. Zaś postać w błękitnych szatach uwolniła całą swoją bezradność w pełnym gniewu i cierpienia krzyku, przy okazji płosząc wronę i budząc kościotrupa. Wierzchowiec zadrzał niecierpliwie, po czym jednym susem opuścił pokój.

Czy to współczucie, czy zwykłe poczucie sprawiedliwości popchnęło nas do rozpoczęcia pościgu.

Jednak tutaj nawet konie bez skóry i mięsa potrafią pędzić niczym wiatr. Ten sam wiatr, który odbija się od ich nagich żeber, grając swoją upiorną melodię.

Pościg byłby z góry skazany na porażkę, gdyby nie pomoc pewnego życzliwego pojazdu. Można powiedzieć, że zaproponował nam podwózkę. Z chęcią przystaliśmy

na propozycję, świadomi iż nie wygramy z kościstym koniem poruszając się pieszo. Przejazdźka należała do naprawdę przyjemnych, a na drobne niedogodności przymknęliśmy oko. Odór krwi i flaków wypływających z pozbawionych szyb okien samochodu szybko przestał drażnić nasz nos i oczy. Zakładamy również, że obowiązujące tu przepisy drogowe są nadzwyczaj łagodne, skoro pojazd zupełnie pozbawiony lamp może swobodnie się poruszać.

Ach, czy wspominaliśmy o mądrej wronie, której powinniśmy się byli posłuchać?

Niestety nasz mechaniczny przyjaciel nie mógł dowieźć nas wszędzie. Zatrzymaliśmy się u skraju lasu. W oddali majaczył pagórek obsypany gęsto skałami. Przypominał nam gałkę lodów z posypką, ale nie mogliśmy sobie przypomnieć czym właściwie lody były i czy posypka stanowiła ich jakąś integralną część czy może zbędny dodatek. Samochód oznajmił, iż ten pagórek jest celem naszej podróży, po czym z piskiem nieistniejących opon udał się w swoją stronę. Nas czekał długi spacer wśród tych absurdalnych, gołych i stwardniałych drzew. Być może nie były to w istocie rośliny, lecz wetknięte brutalnie w ziemię olbrzymie kości.

Podczas notowania nadeszło nas wiele obaw dotyczących struktury naszych notatek. Widzimy ich chaotyczność, ale z drugiej strony wydają nam się suche, pozbawione perspektywicznego spojrzenia. Oczywiście jako ludzie nauki powinniśmy zachować obiektywizm, jednak to co tu zobaczyliśmy nie da się zamknąć w sztywnej formie. Nasze notatki rozwinęły w sobie coś na wzór świadomości i szarogęsią się niemiłosiernie. Możliwe, że to co czytacie one same uformowały pod własną dyktaturę. Już raz widzieliśmy jak całe zdanie znika by w jego miejscu powstało coś, czego z pewnością nie napisałby żaden z nas.

Myślmy by zostać tutaj na dłużej. Nic nas tak nie relaksuje jak świst chłodnego wiatru w gołych szkieletach tutejszych mieszkańców.

Jednak czuliśmy, że pagórek nie jest naszym prawdziwym celem. Znaleźliśmy na nim przestronny budynek z portalowymi wejściami. Zza otwartymi oknami błyszczało niechętnie nocne niebo. Czerwone grzyby przytulone do ścian budynku wydzierały słodki zapach śmierci, przerywany cichym szlochem dobiegającym z zewnątrz. Urocze miejsce – stwierdziliśmy jednogłośnie.

Właściwie od pewnego czasu jesteśmy wyjątkowo ze sobą zgodni. Żartujemy, że wkrótce staniemy się pozbawionym indywidualizmu rojem. Żarty choć podszyte pewną dozą niepokoju, wciąż pozostają niewinnymi psotami. Dopóty będziemy mówić o sobie „ja”, dopóty nie ma powodów do zmartwień. Prawda?

Znów go spotkaliśmy. Już nie był tym samym bezbronnym niemowlakiem porwanym przez czarnowłosą amazonkę. Siedział na gołej ziemi, tkwiąc w kurczowym uścisku. Tulił do siebie drugą połówkę, tak samo przerażoną wizją śmierci jak on. Kochankowie nie wypuszczali się z ramion, a ich kościste ciała niemal złąły się w jedność. Przykry był to widok.

Pożegnał swojego kochanka piękną, ale i potwornie smutną melodią. Jego gołe, liczne palce wygrały na klarncie dźwięki, których nie wymyśliłby, ani nie powtórzył żaden ludzki muzyk. W istocie był to przygnębiający obrazek.

Nasze drogi od tamtej pory rozbiegły się niczym stado spłoszonych owiec. Nie widzieliśmy się aż do naszego ostatniego spotkania. Przebiegło ono w spokojnej, ale i pełnej niepokoju atmosferze. I on, i my wiedzieliśmy, że wszystko ma swój koniec.

Czym były owce i dlaczego ktoś miałby je płoszyć?

Na naszej drodze ponownie stanął żołnierz bez twarzy. Jego starannie wypolerowany hełm gryzł się estetycznie z jego surową, nagryzioną przez robaki twarzą. Nasze spotkanie nie należało do najprzyjemniejszych, jednakże zdążyliśmy się już przyzwyczać. Nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do naszego masowego ośpienia, które dyskretnie uspiło naszą czujność. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, iż pozwoliliśmy uciec takiemu zbrodniarzowi wojennemu?

Naprawdę nie sądziliśmy, że nasze ostatnie spotkanie nastąpi tak gwałtownie. Niemal go nie poznaliśmy, mimo że znaliśmy go od niemowlęctwa. W tej smutnej sylwetce starego człowieka nie było już nic z dziecięcej bez troski. Siedział skurczony na drewnianym fotelu, a my nie byliśmy w stanie określić, gdzie kończą się jego kości, a zaczynają deski. Rozmowa była zbędna. Rozumieliśmy się bez słów jak starzy przyjaciele. On jedynie pomachał nam na pożegnanie i zaszczyił szczerym uśmiechem połamanych zębów.

Przekroczyliśmy Bramę. Jesteśmy pełni obaw i zrozumiałej ostrożności, ale i ciekawscy oraz podekscytowani na wzór małych dzieci. Mamy nadzieję, że znajdziemy tutaj wiele cennych informacji, zdolnych zapełnić setki naukowych prac i książek. Liczymy również na nawiązanie przyjacielskich stosunków z tubylcami. Po powrocie zapewne będziemy mieć tyle do opowiadania!

Jeśli przetrwamy.